

# WITKACY W NARODOWYM

MM

Teatr Narodowy nie ma dzisiaj swego statutu, podobnego temu, jaki opracował dla sceny narodowej Wojciech Bogusławski („Najpierwszym staraniem Dyrekcji Rządowej Teatru Narodowego było ustanowienie Statutu przypisującego obowiązki wszelkim jego Artystom” — pisał Bogusławski we wznawionych niedawno — z okazji dwóchsetlecia tej sceny — „Dziejach Teatru Narodowego”). Nie ma oficjalnego statutu, ale ma przynajmniej swój konsekwentnie realizowany program. Kazimierz Dejmek chce tu pokazać cały klasyczny dramat rodzimy, od literatury staropolskiej (otrzymaliśmy już „Historyję” i „Żywot Józefa” — po Witkacego. Sprawa dramatu staropolskiego jest oczywista, tu zresztą odniósł Dejmek największe triumfy własnymi przedstawieniami; środek, od Oświecenia przez romantyzm, Fredrę no Wespiańskiego (tu poszło na razie mniej szczęśliwie, no ale są to przecież dopiero początki Dejmekowego Teatru Narodowego) nie może dziwić, ten dramat jest już na trwałe wprowadzony na scenę; za to proponowanie Witkacego jako ogniwa

końcowego w repertuarze narodowym, urywanym na ogół na Zapolskiej i Rittnerze, jest niewątpliwie czymś nowym. I jednocześnie — czymś oczywistym. Nie jest to czczy komplement: Dejmek jako pierwszy potrafił wyciągnąć wniosek praktyczny z odkrycia, jakiego dokonano stosunkowo niedawno — że Witkacy przez wiele lat ledwie tolerowany (i to częściowo na wariackich papierach) jest świetnym, mającym swoje miejsce w historii dramatu polskiego scenopisarzem. Wprowadził do Teatru Narodowego przed kilku laty „Kurkę wodną”, teraz pokazał „Mątwa” i „Jana Macieja Karola Wścieklicę” (oba spektakle w reżyserii Wandy Laskowskiej), walczy uparcie — i oby nie daremnie — o „Szewców”.

Zauważono już, że zaczyna się powoli krystalizować także stylizacja teatralna zrehabilitowanego dla najszacowniejszych scen Witkacego. Po początkowym okresie „groteski” i deformacji (głównie plastycznej: swoje malarskie ambicje wpisywali do tekstów Witkacego Kantor i Szajna; ale nie tylko plastycznej) zaczęła się okres umiaru i rozsądku, w którym pojawiły się najciekawsze dotychczas realizacje sceniczne Witkacego: „Szewcy” we wrocławskim teatrze studenckim „Kalambur”, „Oni” we Wrocławiu (w reżyserii Skarucha), ostatnio „Sonata Belzebuba” Zegalskiego w Białymstoku. Na tym też umieszczony spektakl w Teatrze Narodowym nie jest

oczywiście rewelacją interpretacyjną. Jest to najbardziej gładkie, najbardziej dopieszczone przedstawienie witkacowskie ze znanych nam dotychczas. Ale jako teatr witkacowski jest pewnego rodzaju cofnięciem się wstecz.

Nie wyszła Laskowskiej „Mątwa”. Zagrana została w tonacji serio, sprawiała wrażenie, jakby odczytana została przez teatr jako programowy manifest artystyczny, który mógłby i dziś zabrzmieć sensownie. Powaga „Mątwy” była może nawet zamierzona, dla kontrastu z „Wścieklicą”, gdzie efekt teatralny polegał przecież na wprowadzeniu chłopca, który konstatuje, iż „nienasyconie ambicji jest jedyną siłą, która coś stwarza we Wszechświecie. Jest to pojęcia metafizyczna. Pojęcie to musi być wprowadzone w system Absolutnej Prawdy”. Ta sama zasada — to jest właśnie element groteski witkacowskiej — obowiązuje i w „Szewcach”, gdzie „psia jego flądra” szewc dyskutuje o monadach Leibniza. Powaga i w efekcie kłęska „Mątwy” była także konsekwencją dość szczególnie pomyślanej obsady, z Lotyszem jako Pawłem Bezdeka, z Zarneckim jako Hyrkanem IV, z Mileckim jako Juliuszem II. Ironia została przytłumiona przez manieryczną, na serio eksponowaną młodopolszczyznę, „Jan Maciej Karol Wścieklicę” był za to w tonie na pewno znakomicie trafiony. Zagrany dosadnie, bez zbędnej or-

namentyki teatralnej, bez nadbudowywania metafizycznych fintifluszów, odważnie i z brawurą. Spektakl zdecydowanie aktorski, za co chwala reżyserowi, który nie próbował dodatkowej interpretacji Witkacego. Bezblędnie poprowadzona rola Wścieklicy (Jan Kobuszewski), chłopsko-witkacowska, śmieszna, żalonna i ludzka jednocześnie, znakomita Wścieklicowa Wandy Łuczyckiej, która pokazała swoją najlepszą od czasów „Wizyty starszej pani” rolę, najbliższą ideałowi witkacowskiemu Barbara Krafftówna jako Wanda Lektorowiczówna. Teatr Witkacego? Zaczynam podejrzewać, że jest on znacznie mniej tajemniczy, niż skłonni bywamy sądzić. Tekst plus aktor plus rozsądne czytanie tej literatury. Dotąd najświetniejszy wydawał się Witkacy z reguły w lekturze. Na scenie — to nie pretensja pod adresem teatru — potrafili się mniej lub bardziej skutecznie bronić. Kto wie, czy nie to właśnie jest najbardziej dosadną wskazówką — przynajmniej na dziś, kiedy Witkacemu nie wtyka się już do ręki wariackich papierów, i kiedy odkrył go jako współtwórcę narodowego dramatu Teatr Narodowy. Jest równie bliski teatrowi współczesnemu, jak kiedyś dramat Zapolskiej scenie swoich czasów. Ta zgodność charakterów i zgodność upodobań zachęcać powinna na pewno przede wszystkim do naturalności. (jkg)